



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Tadeusz Dąbrowski

Krótkie wspomnienie tamtych dni

Urodziłem się 1 października 1934 roku w wielorodzinnym mieszkaniu przy ul. Puławskiej 1 w Warszawie. Właściwie była to jedna wielka izba (może nawet 40 m kwadratowych) w suterenie. Zgodnie mieszkały tu dwie rodziny, tzn. ja z mamą, siostra matki z mężem, babcia i jeszcze przychodził nocować sublokator. Ojciec pracował na państwowej, dobrej posiadzie (w PZL na Okęciu-Paluchu), wkrótce więc przeprowadziliśmy się do wynajętego mieszkania przy ul. Grochowskiej 118 m. 16. Żyliśmy dostatnio.

Jako kilkuletnie dziecko lubiłem wieczorami przez okno w kuchni oglądać kolorowe, lecące w niebo ognie, rozbłyśki, smugi krzyżujących się świateł reflektorów. Beztrosko oglądałem te barwne widowiska nie wiedząc, że to już były przygotowania do wojny, ćwiczenia na poligonie w Rembertowie.

W któryś letni poranek zabieram swoją łopatkę i wiaderko, Ojciec niesie prawdziwy szpadel i idziemy na pola po drugiej stronie Grochowskiej. Jest tu wielu mężczyzn i wiele kobiet. Kopiemy rowy, schrony. Ojciec chodzi do pracy, wraca coraz później, nieraz dopiero na noc. Kiedyś budzi nas wycie syren, warkot samolotów. Biegniemy do naszych schronów. Wybuchy bomb, gdzieś daleko... Teraz zupełnie blisko. Po odwołaniu alarmu biegniemy na nasze podwórko. Dom stoi, ale z daleka czujemy straszny fetor. Jedna z bomb trafiła i eksplodowała w... szambie. Z najpotrzebniejszymi rzeczami ewakuujemy się na Puławską. Kolejna bomba niszczy część domu na Grochowskiej, ale udaje się jeszcze zabrać resztę dobytku.

Właściciel domu przy Puławskiej, pan Brejmajer (nie wiem czy dobrze napisałem nazwisko) nie chce podpisać volkslisty i zostaje wyrzucony z mieszkania. Ten lokal zajmuje Niemiec (chyba o nazwisku Oppenchowski), straszna kanalia. Zresztą potem zastrzelony w Otwocku z wyroku Państwa Podziemnego (tyle zapamiętałem z opowiadania Rodziców). Okolice domu: Pl. Unii, Bagatela, Klonowa, Aleja Szucha wkrótce zapełniają się Niemcami, wojskiem i cywilami. Powstają biura, urzędy, instytucje. Przy Pl. Unii, między Bagatelą a Al. Szucha powstaje biuro niemieckiej firmy ochrony mienia (chyba nazywało się Obhut?). Wielki remont pomieszczeń na dole i na górze, ogrom prac. Ciotka i wujek zatrudniają się tam do porządkowania. Dostają – jakże wtedy ważne – zaświadczenia o pracy w niemieckiej firmie. Ojciec prowadzi mały domowy warsztat, zajmuje się drobnymi naprawami: kran, zamek, klucze.

We wrześniu 1941 roku idę do szkoły. Mieści się w budynku z czerwonej cegły przy Al. Szucha 7 (może 9). Stoi do dziś. Aleja Szucha wprawdzie zamknięta szlabanem, ale na moją szkolną legitymację „wacha” przepuszcza mnie i Mamę. Coraz większy terror, łapanki, publiczne stracenia. Na naszym podwórku coraz większe zagrożenie ze strony Oppenchowskiego, który panicznie boi się Polaków. Największe niebezpieczeństwo grozi młodym mężczyznom. Niemcy zajmują budynek szkoły,

a zajęcia zostają przeniesione do „ubezpieczeń” (tak się wtedy nazywało ten gmach), przy ul. Polnej, gdzieś w okolicach dzisiejszego domu akademickiego Riviera. Obok była cukiernia i w podziemiach piekarnia Lardellego. Tam sprowadzano nas do schronu w czasie nalotów i to były nasze „słodkie chwile”. Mogliśmy do syta najeść się okruchów, odpadów, odprysków wszystkich tam wytwarzanych rarytasów. Opeenchowski kolejno wyrzucał z mieszkań polskie rodziny. I my zostaliśmy „przesiedleni” do mieszkania w domu przy ul. Śliskiej (chyba 43). Od strony Śliskiej trzypiętrowy budynek i przylegająca do niego oficyna, od Siennej zachowała się tylko brama i sięgająca piętra kupa gruzu na niej. Zajęliśmy mieszkanie nad bramą, ciotka – mieszkanie w oficynie, z drugiej klatki schodowej. Ściągnęli też do tego domu dwie trochę dalsze rodziny.

Gruzowisko od Siennej to wspaniały teren zabaw w chowanego, w wojnę, w wyspę skarbów. Kolejno odkrywaliśmy coraz nowe wejścia do „lochów”, czyli zachowanych piwnic. Ma to ogromne znaczenie dla dalszych wydarzeń. Zaczynamy się urządzać. Warunki trochę lepsze (np. ubicacja w mieszkaniu) i luźniej niż na Puławskiej. I znów któregoś dnia zaskoczenie. Na podwórko zjechała grupa robotników, a administrator wręczał nakazy opuszczenia lokalu. Dom przeznaczony do rozbiórki, zaczęła się budowa zaprojektowanej przez Niemców trasy północ-południe. Trasy N-S. Zaproponowano nam mieszkania przy ul. Ogrodowej, w domach opuszczonych przez Żydów po likwidacji części getta. Z ważnymi „papierami” przechodzimy przez istniejącą jeszcze „wachę” przy bramie (na przedłużeniu ul. Żelaznej) w murze ustawionym wzdłuż ul. Chłodnej. Oglądamy przydzielony lokal. Drzwi i okna oklejone szczelnie papierową taśmą, wewnątrz pusto. Ściany tapetowane, w każdym pomieszczeniu po 2-3 wypalone świece dezynfekcyjne. Śmierdzi paloną siarką. Przyjmujemy nakaz i zaczyna się szykowanie, głównie zdzieranie kilku warstw tapet. Snujemy plany urządzenia, zagospodarowania.

Ciotka nie przyjmuje przydziału, bo to strych bez żadnych wygód, nad jakąś fabryczką (pamiętam szyld: smok trzymający łapę na kałamarzu i napis DRAGON), wejście po drewnianych zewnętrznych schodach. Zostają na Śliskiej. Może jeszcze kilka słów o ich losach, sadzę że też interesujących. Pierwsze dni powstania spali w mieszkaniach, ale bombardowania i ostrzał artyleryjski zmusił do szukania schronienia w odkrytych podczas zabaw „lochach” przy Siennej. Tu też mają schronienie powstańcy. Rany opatrzą, coś zjedzą, trochę odpoczną. Mijają dni i tygodnie, zaczyna brakować jedzenia, wody. A tu jeszcze trzeba zadbać o niemowlę, nakarmić. Syn ciotki, Stefan, urodził się 21 lipca 1944 roku. Parotygodniowy niemowlak karmiony mąką rozbełtaną w resztkach wody wyrósł na chłopca 190 cm wzrostu, ponad 100 kg wagi! Niestety już nie żyje. Mijają tygodnie. Niemcy zajmują coraz więcej terenu, a Śliska trwa. Pozostał jeden dom wśród morza gruzów, cel ostrzału... Tak dotrwali do kapitulacji. Niemcom potrzebna była siła robocza, zostali więc wcieleni do szaberkommando. Kobiety gotowały, segregowały zagrabione rzeczy, mężczyźni znosili, nosili, ładowali na samochody. Niemcy odjechali z łupem. Nasi zostali „wolni” dopiero w połowie października. Skleconą ze złomu rykszą wyjechali z Warszawy do rodziny koło Sochaczewa.

Wracam do moich dalszych losów, splecionych jednak z rodziną ciotki. Ulica Ogrodowa 27. Prostokąt podwórka zamknięty z czterech stron 4-5 piętrowymi budynkami. Pośrodku przegrodzone oficyną o charakterze niemieszkalnym. Podobno to jakaś fabryczka. Mieszkam z Rodzicami w drugim podwórku, na parterze. Oficyna stale ciemna, ale późnym wieczorem w małym piwnicznym okienku błysnie nieraz światło, nieraz przemknie jakiś cień. Kiedyś coś tam usłyszałem z rozmowy dorosłych (kto by chciał dzieciaka wprowadzać w takie sprawy), że tu schroniło się kilku Żydów. Któregoś dnia łomotanie do drzwi. Wpadają żandarmi, wrzeszczą Jude, Jude. Sprawdzają wszystkie kąty, szafy, bagnetami wyważają klepki z podłogi. Szukają wejść do kryjówek Żydów. Wyprowadzają jakichś ludzi, zabraniają podchodzić do okna.

W lipcu przebywam na kolonii w Julinku (k. Błonia). W ostatnich dniach lipca po dzieciaki zaczynają przyjeżdżać rodzice. Ja wracam do Rodziców jakimś samochodem wraz z paroma innymi dziećmi. Na Ogrodowej jest mój o 2-3 lata starszy kuzyn Rysiek. W domu jakieś niezrozumiałe dla mnie zdenerwowanie, porządkowanie piwnic, szykowanie legowisk, zapasów wody, świec...

Pierwszy dzień sierpnia 1944 roku. Słysząc strzały, na podwórko wbiegają ludzie z białoczerwonymi opaskami. Powstanie! Jedną, może dwie noce spędzamy w mieszkaniu, ale w pełnej gotowości, z obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej zawieszonym na szyi. W dzień syreny, strzały, przerażający gwizd sztukasów, wybuchy bomb. Rano drugiego dnia do mieszkania wpada zdenerwowany wujek po Ryśka. Piwnicami, podwórkami zabiera go do domu na Śliską. Pierwsze ofiary, na małym klombiku wybetonowanego podwórka pierwsze groby. Ciepłe przedpołudnie, spokój, cisza. Wylegamy na podwórko. Nagle strzał, ktoś pada, w popłochu uciekamy do piwnic. Po jakimś czasie ostrożnie wyglądamy z sieni. Cywil i powstańcy wyprowadzają człowieka w dziwnym ni to mundurze, ni to kombinezonie. Gołębiarz. Wyprowadzają za bramę, strzał – jednego wroga mniej.

Mężczyźni przez całe dni kują grube mury fundamentu w piwnicy. Już słysząc kucie z drugiej strony. Jeszcze parę godzin i przejście ewakuacyjne gotowe. Pada pierwsza bomba w nasz dom, w klatkę schodową i odcina mieszkanie z przebywającą tam lokatorką. Sąsiedzi budują kładkę z balkonu na balkon i przeprowadzają mocno wystraszoną panią. W dzień, między nalotami, modły

przy kapliczce na pierwszym podwórku, wieczorami – w piwnicach pachnących stęchlizną, kwaszoną kapustą, smrodem z kopających świec i kaganków. Do mieszkań wpadamy biegiem po najniezbędniejsze rzeczy. Powoli, ale skutecznie narasta nastrój... Czego? Grozy, troski o życie swoje i najbliższych, beznadziei....Ale rodzi się też coraz większa solidarność, zwykła ludzka, przez małe s.

Siódmy dzień Powstania. Bardzo rano. Budzą nas ostre głosy, tumult, walenie do drzwi. Przez dopiero co wykute przejście wchodzi coraz więcej ludzi. Ostre rysy twarzy, dziwne jakieś mundury... Wrzeszczą: „wychadcie, ja tu buduję granaty kidać”. Wychodzimy z naszych jakże już przytulnych i bezpiecznych piwnic. Wypędzają nas na podwórko, gdzie już jest setka, może więcej ludzi. Chodzą przed tłumem z naganami w rękach. Strzelają nad głowami, pod nogi, wyraźnie prowokują do jakiegoś działania. Tak trzymają może dwie, może trzy godziny. Na podwórko wkracza oddział z rurami w rękach, zbiornikami na plecach. Strumienie ognia na nasze domy. Mama w płacz: „potłuką nam lustro!” Wyganiają wszystkich z płonącego już domu. Niektórzy z tobołami i walizkami przygotowywanymi na wszelki wypadek. Ktoś niesie obraz olejny, pani z papużką w klatce, my z maleńkimi węzełkami rodzinnych pamiątek, inni z gołymi rękami. Pędzą nas Ogrodową w stronę kompleksu gmachów sądu, gdzie był szpital powstańczy. Wokół wiele martwych ciał, gołych, pobandażowanych, owiniętych w strzępy pokrwawionych szmat. Po kładce z jednej deski, z rękami do góry, przechodzimy nad rowem-barykadą (gdzieś w okolicach ulicy Białej). W rowie ciała tych co spadli, niektórzy jeszcze żywi.

Ulica Chłodna. Na placu przed kościołem pw. Karola Boromeusza już tysiące ludzi. Niemcy, ale przecież nie po niemiecku wrzeszczący, organizują konwój. Pędzą Chłodną. W płonącym już domu na rogu Chłodnej i Żelaznej na ostatnim piętrze, w jakby wieżycze, paru powstańców pojedynczymi seriami strzelają do wrogów. Oprawcy wyciągają z tłumy trzy kobiety (w tym naszą sąsiadkę, p. Górecką), ustawiają na ich ramionach karabin maszynowy kryjąc się za nimi i strzelają. Idziemy Wolską przez morze ognia, gruzy, zwłoki, porozrzucane sprzęty, bagaże. Pierwszy „etap” w na placu przed kościołem pw. Św. Wojciecha. Panie z opaskami RGO udzielają pierwszej pomocy. Mają w kotle coś gorącego. Mama znajduje jakąś puszkę, dostajemy trochę gorącej zupy. Tu „selekcja”. Oddzielają mężczyzn, jak się okazało wywożonych na roboty do Niemiec. Reszta rusza dalej. Teraz jesteśmy pilnowani przez żołnierzy stojących niezbyt gęstym szpalerem po obu stronach drogi. To Niemcy. Idziemy w milczeniu, zrezygnowani, ale spokojni. Paradoksalne uczucie – jakby namiastki bezpieczeństwa, milczącego spokoju, wyjścia z piekła.

Przez przedmieścia Warszawy, Włochy, Piastów pędzą do Pruszkowa. W Piastowie przy szosie miejscowa ludność ratuje i pomaga jak może. Miła pani (o ile pamiętam p. Kalbarczyk) kiwnęła do Mamy, wyraźnie woła. Strach wyjść z szeregu – może zastrzelą. Niemiec stojący tuż obok nagle odwraca się w drugą stronę, jakby tam zobaczył coś niezwykłego. Nie widzi nas, czy tylko nie chce widzieć. Wyskakujemy z szeregu. Przez rów, opłotki, ogródki nasza wybawicielka prowadzi do swojego domu już pełnego uchodźców, zostawia na parę minut. Wraca i przez płot przeprowadza do sąsiadów. Ciepłe, słoneczne, późne popołudnie. W ogródku kwiaty, dojrzewające na drzewach owoce, fruwały motyle... Czy to rzeczywistość, czy taki świat jeszcze istnieje, czy my żyjemy, a może to już raj? Przyjmują nas jak swoich. Mama jak może stara się pomagać w domu, jeździ gdzieś na „szmugiel”. Niemcy zaczynają poszukiwać w okolicach „bandytów” z Warszawy. Staje się niebezpiecznie. Nasi opiekunowie wywożą nas z Piastowa. Kolejarze ładują na jakąś łorę, wysadzają w Rawce. Idziemy do wsi Samice, do rodziny opiekunów. Tu przyjmują nas jak rodzinę, dzielą się każdą kromką czarnego chleba. Dzieci (mają chyba troje, ja czwarty) nieraz dostają po kromce białego (trochę bielszego). Nie chcąc być ciężarem dla obcych, jakimiś „okazjami” docieramy do naszej rodziny we wsi Dębsk k. Sochaczewa. Tu już jest ciotka z wujkiem, Ryśkiem i maleńkim Stefanem. Gospodarze przyjmują nas... niezbyt gościnnie, jak intruzów, jak obce gęby do wykarmienia. Ale to już zupełnie inna historia.

Po przejściu frontu wujek wraca do Warszawy, aby zorientować się w sytuacji. Wraca i (chyba) w końcu marca wracamy wszyscy. Naszych domów nie ma, zamieszkujemy u znajomych wujka, trzy rodziny w trzypokojowym mieszkaniu na Mokotowie (Krasickiego 7). W końcu kwietnia z obozu wraca Ojciec. Zaraz też idziemy obejrzeć nasz „dom” na Ogrodowej. Tylko wypalone mury i kupa gruzu z czterech pięter na drewnianych stropach. Tata, Rysiek i ja zabieramy się do przekopywania zwaliska w miejscu wyznaczonym przez Ojca. Tu, w piwnicy, w metalowej beczce było zakopane radio. Dokopaliśmy się... Wydobyliśmy zwęglone, „upieczone” szczątki, po drodze parę narzędzi z domowego warsztatu Ojca. Cały dom na Krasickiego wykupuje Bolesław Piasecki (ten od PAX-u). Dostajemy jakieś pieniądze i wyprowadzamy się do rodzinnych Młocin (wtedy jeszcze wsi k. Warszawy). Tymczasowo zamieszkujemy u rodziny z zamiarem pobudowania się. Ojciec prowadzi warsztat ślusarski, ale gnębiony podatkami i domiarami („wroga ustrojowi prywatna inicjatywa”) nie ma szans na zrealizowanie marzeń. Budowa była odkładana z roku na rok, pieniędzy ubywało i wreszcie nic z tego nie wyszło...